

W Y D A N I E S P E C J A L N E

Pismo.

MAGAZYN OPINII

WOKÓŁ
PODRÓŻY

WYDANIE SPECJALNE NR 1/24 | WIOSNA 2024

Z PISMEM U...

Marsjanina na
Antarktydzie

PORTRET

Jedyna taka
Elżbieta Dzikowska

ESEJ

Nieoczywisty
przewodnik po Polsce

ORAZ...

Agnieszka Pajączkowska
Aleksandra Zielińska
Filip Springer

CENA: 19,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 434035

01>



9 772544 502418



W drogę!

**KATARZYNA
KAZIMIEROWSKA**
(ur. 1979),
dziennikarka
i redaktorka.
Redaktorka
prowadząca
i sekretarzynie
redakcji „Pisma”.
Autorka cyklu
*Strategie
przetwarzania*.

„Czasem niebezpiecznie jest wyjść z domu. Gdy staniesz na drodze, nigdy nie wiadomo, dokąd cię nogi poniosą” – mówi Bilbo Baggins w Tolkienowskiej *Drużynie Pierścienia*. W tym numerze wydania specjalnego „Pisma” zdecydowaliśmy się zrobić jak Bilbo – pójść, gdzie nas nogi poniosą. I to dosłownie. Zamiast do auta czy samolotu wsiąść na rower i pojechać przed siebie albo założyć dobre buty i iść – łązić, wspinać się, przedzierać, maszerować, kłuczyć, błądzić, szukać, by dotrzeć do miejsca, gdzie nie żyją co prawda dzikie stwory, ale które choć na chwilę można nazwać celem.

Wydanie specjalne, które trzymacie w rękach, przewrotnie nazwaliśmy „Wokół podróży”. Zwykle, kiedy słyszy się to hasło, na myśl przychodzą wyprawy na miarę „National Geographic” – dalekie, egzotyczne, atrakcyjne, może nawet z nutką dreszczyku. Jakaś Birma albo Peru, ostatecznie Alaska, ewentualnie wersja ekonomiczna – Islandia.

Tymczasem przygoda może zacząć się tuż za rogiem. Odkrycia można dokonać już na pobliskim skwerku czy niewielkiej górze, która – gdy ciut przymrzujemy oczy – może urosnąć do rozmiarów Czomolungmy (przez Europejczyków zwanej Mount Everestem). W ten sposób na teren wokół siebie spojrzeli członkowie Towarzystwa Krajoznawczego Krajobraz. W 2015 roku zorganizowali Pierwszą Polską Zimową Ekspedycję „Korona Warszawy” w celu zdobycia sześciu warszawskich wzniesień w stylu alpejskim. Dziś możemy oglądać zdjęcia i filmy dokumentalne z tego historycznego wyczynu. I choć budzą one ogromną wesołość, to przyświecał zdobywcom zacny cel – zetrzeć nimb wielkości z klasycznego kanonu krajoznawczego, by poszukać innych przykładów tak zwanych atrakcji turystycznych czy przyrodniczych, a w praktyce odzyskać radość z eksplorowania, podziwiania i zdobywania miejsc, punktów na mapie, ścieżek i szlaków, odzyskać zachwyt nad samodzielnym doświadczaniem świata – także tego, który pozornie znamy, a który zwyczajnie nam się opatrzył.

Pisze o tym w eseju *Nowe krajoznawstwo: kibicować gorszym* Ewa Pluta, moja redakcyjna koleżanka, któ-

ra kontynuując nową tradycję zdobywania szczytów tam, gdzie ich nie ma, decyduje się zdobyć w stylu alpejskim dach Mazowsza. Marek Szymaniak również przekuwa teorię w praktykę: wskakuje na rower – mentalnie i w realu – by siłą własnych mięśni odkrywać i przeżywać przyrodę, by doznawać krajobrazu wszystkimi zmysłami. Czasem banalny, „słowhopowy” hamak rozwieszony między drzewami i kawa z kubka termicznego, zamknięcie na chwilę oczu i posłuchanie leśnych hałasów pozwalają bardziej docenić i lepiej zrozumieć przyrodę, dając większą przestrzeń na empatię.

Agnieszka Pajączkowska zamiast wycieczek w bliskie, ale nieznane miejsca, wybiera przeprowadzkę z miasta na wieś, która wielu kojarzy się z wyprawą na inną planetę. Choć to miejsce znajome, sprawdzone, nieobce, okazuje się, że pieszo eksploruje się je inaczej, że dystans zaczyna być mierzony inną miarą, miejsce wiąże się już nie tyle z celem (kupić chleb w sklepie), ile z emocjami, jakie mu towarzyszą. I wspomnieniami, jakie się buduje.

Krok dalej idzie Adam Robiński, który razem z profesorem Markiem Lewandowskim przenosi się na Antarktydę. Tu krajobraz jest tak odmienny, jakbyśmy doświadczali nieznanego świata, w którym nasze zmysły pracują inaczej. Cytując Barry’ego Lopeza, autora książki *Arktyczne marzenia*: „Krajobrazy ziemskie są tak różnorodne, że trudno poznać je wszystkie dokładnie. To jest jak dogadywanie się z dzikimi zwierzętami. Pewność w stosunku do jednego gatunku rzadko kiedy przydaje się w kontakcie z innym” (przeł. Jarośław Mikos).

To drzewo, na które w dzieciństwie wspinał się nasz tata, a na które my włączymy dziś, ta wydeptana między blokami ścieżka, którą pamiętamy od zawsze, a która nigdy nie stała się chodnikiem, droga obrosnięta z obu stron wierzbami, którą utożsamiamy z wakacjami, bo prowadzi nad morze, słowo „wieś”, które już zawsze kojarzy nam się z lasem, bo tak było we wsi, gdzie mieszkali dziadkowie. Przyklejamy obrazy do słów, emocje do obrazów, nadajemy im ogromne znaczenie, ale tylko w ten sposób krajobraz może

MACAZYN OPINII
Pismo.

WYDANIE SPECJALNE NR I / 24

PROZA

Wszystko jest w porządku | 4

ALEKSANDRA ZIELIŃSKA

OBRAZ

W KADRZE **Pocztówka z Polski** | 2, 78

MAŁGORZATA ADAMCZYK

QUIZ

10 pytań krajoznawczych | 80

TOWARZYSTWO KRAJOZNAWCZE KRAJOBRAZ

zaprasza: konkurs z zagadkami!

OKŁADKA **Klangor polski**

JUSTYNA FRĄCKIEWICZ

ESEJ

14 | Nowe krajoznawstwo: kibicować gorszym

EWA PLUTA sprawdza, czy klasyczny kanon krajoznawczy jest wciąż aktualny

74 | Ścieżki wokół Bulbjerg

DORTHE NORS o podróży przez wybrzeża Jutlandii i pamięci krajobrazu

REPORTAŻ

26 | Wolność dwóch kółek

MAREK SZYMANIAK na rowerze odkrywa polski krajobraz bocznych dróg

Z PISMEM U...

36 | Antarktycznego Marsjanina

ADAM ROBIŃSKI pyta prof. Marka Lewandowskiego o jego przygodę na biegunie

PORTRET

48 | Jednoosobowa niebieska strefa

JULIA LACHOWICZ-NOWIŃSKA o Elżbiecie Dzikowskiej, polskiej damie w podróży

HISTORIA OSOBISTA

58 | Kurs na wieś

AGNIESZKA PAJĄCZKOWSKA wyprowadza się z miasta

PODRÓŻ

68 | Ziemia bez nazwy

FILIP SPRINGER opisuje region z historią, który stał się ofiarą działań człowieka

MACAZYN OPINII
Pismo.Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.plWydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina WyszyńskaAdres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Redaktorka prowadząca wydanie specjalne: Katarzyna Kazimierowska,
Redaktorka: Zuzanna Kowalczyk, Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, Felieton: Karolina Lewestam,
Redakcja: Joanna Dolecka, Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Ilona Turowska, Korekta: Ewa Bargiel, Monika Marczyk,
Dorota Śrutowska, Wydanie cyfrowe i audio: Barbara Sowa, Ewa Pluta, Iga Gromska, Karolina Wasiczek,
Projekt makiety: Jacek Utko, Dyrekcja artystyczna, skład i łamanie: Karolina Mazurkiewicz,
Szef Marketingu i Sprzedaży: Paweł Cybulski, Promocja: Ewa Salamon, Marketing: Mateusz Roesler,
E-commerce: Anna Ostrowska, Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec, Fundraising: Inez JaworskaRedakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklamy i reklamy ogłoszeń: pismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Kup książkę



Impreza San Remo nad Łydynią, Ciechanów, 14 sierpnia 2021 roku

[Kup książkę](#)



W KADRZE

Pocztówka z Polski

zdjęcie MAŁGORZATA ADAMCZYK

[Kup książkę](#)

Wszystko jest w porządku

tekst ALEKSANDRA ZIELIŃSKA

Dla E, A i P, niestrudzonych podróżników, najlepszych przyjaciół.

—
Wszystko jest w porządku – mówi Meška, a ja z daleka widzę, że nie jest, ale nic nie odpowiadam, bo przecież jej przekonać się nie da, więc wymownie pozwalam w ciszy wybrzmieć niepokojącym dźwiękom. Trzeszczy lewe tylne koło, ale trzeszczy tak porządnie, coraz silniej przy zakrętach, gdy nawet na siedzeniu pasażera wyczuwam brak oporu hamulców i kątem oka widzę, że Meška musi stopą pedała giąć niemal do podłogi, żeby zareagował, ale przecież wszystko jest w porządku, więc poprawiam tylko pas i patrzę na trasę, modląc się, żeby było blisko, ale wręcz przeciwnie, jest daleko, może nawet coraz dalej, bo mam wrażenie, że serpentyny zawijają się wokół gór w spiralę i prowadzą nie do przodu, a w głąb ziemi.

Nawigacja mówi, że do Tbilisi jeszcze godzina, ale w takich warunkach godzina może rozciągnąć się w dwie, trzy, pięć, do wyboru, do koloru, bo na drodze zalega śnieg i jak się auto dobrze nie wstrzeli w koleiny, to się wstrzeli w brzuch góry, więc lepiej uważać. Warto uważać również na inne samochody, które zdają się radzić sobie w tych zimowych warunkach doskonale, ślizgają się kontrolowanie po krawędziach jezdni, wyprzedzają na styk, ale jest w tym styku precyzja łyżwiarzy figurowych i radość dzieci na sankach, nie ten pogrzeb w naszym samochodzie. Dalej nie mogę przeboleć wydarzeń

w Waszlowani, a właściwie to nie mogę przeboleć całej tej wycieczki, może nawet zdarzeń, które do wycieczki doprowadziły.

Jeszcze trochę bolą mnie ramiona po bójkach, ale na szczęście ślad zębów Meški na nadgarstku powoli zanika. Myśl, że ma taki sam na przedramieniu, daje mi trochę satysfakcji, co przyznaję przed sobą ze wstydem.

Meška zmienia bieg, przeskakuje oczami między nawigacją w telefonie a tym, co uda się zobaczyć przez okno, a widać mało. Skończyły się księżycowe noce, jakie miałyśmy wcześniej, skończył się Kaukaz przy ramieniu, który towarzyszył nam cały czas, teraz jest ciemno, zimno i wieje. Meška jest zmęczona, ale nie da po sobie niczego poznać, nie da się zamienić za kierownicą wypożyczonego auta, bo to przecież ona wzięła za nie odpowiedzialność, ale jaka to odpowiedzialność, skoro trzeba było od razu zgłosić, że coś trzeszczy, a nie pchać się w Gruzję bez ładu i składu na trzech dobrych kołach.

Meška wychodzi z założenia, że zawsze da sobie radę, niezależnie od przeciwności losu, tak jak daje sobie radę w pracy, balansując tacami pełnymi kieliszków i nareczami talerzy w knajpie, do której czasem zachodzę po zajęciach ze studentami. Właściwie to zachodziłam, teraz zwykle jem zimną pizzę nad zlewem, jak jakaś barbarzynka, a Meška z powodu obostrzeń i łątania budżetu pakuje głównie na dowóz.

Patrzę na Meškę i już mi nawet trochę przechodzi, nie będę jęczeć, że się spóźnimy na samolot, że tata pewnie dzwoni, żeby sprawdzić, czy żyjemy, że wcale mi się nie podoba ta wyprawa ani to, co stało się ze zdjęciem. I w końcu, jak mogła mnie zostawić w Waszlowani?

– Wszystko jest w porządku – powtarza Meška, odpowiada jej trzask tylnego koła na zakręcie, przednią szybę obryzguje fala pośniegowego błota wzniesiona przez mijanego tira, jest to urlop roku.

—
z DRUGIEJ STRONY przecież to ja zostawiłam Meškę pierwszą, kiedy tato powiedział, że z mamą jednak nie pojadą na żadne urlopy, nie pojadą już tak naprawdę nigdzie, a szkoda, żeby się zmarnowało, i to nie ze względu na pieniądze czy zarezerwowane hotele, ale ze względu na pamięć. Wiedzieli, że się nie dogadujemy, zwłaszcza wtedy, zwłaszcza mama wiedziała, więc wzięli i przebukowali te bilety, dali kieszonkowe swoim dorosłym trzydziestoletnim córkom, chociaż nie chcieliśmy, wysłali do tego dalekiego Waszlowani, w miejsce, które chcieli odwiedzić sami.

Dla mnie Waszlowani nie znaczyło nic, poza tym zdjęciem, które wisiało na ścianie w kuchni w naszym domu. Mama, tata, jeszcze pod swoimi imionami, nie funkcjami w rodzinie, młodzi, uśmiechnięci,



z plecakami, z plastikową butelką pełną wina wzniesioną w toaście, z tyłu drzewo oliwne, osiemdziesiąty drugi albo trzeci. Chciałam sobie to zdjęcie zabrać, mieć tylko dla siebie, ale zniknęło ze ściany, zanim poczyniłam jakiegokolwiek kroki w tym kierunku, a teraz zniknęło na zawsze. Dobrze, że nie zapytałam taty, czemu je schował.

Od samego początku planowali, że odwiozą nas oboje na lotnisko, ale takich planów na pewnym etapie już robić nie wolno, więc w końcu Meškę odwiózł sam tata, ja akurat od kilku dni leżałam bez ruchu na łóżku, wysuszona od płaczu na wiór i gdzieś miałam wycieczki, aż tata wrócił z lotniska, kupił nowy bilet i powiedział, że wsadzi mnie na pokład choćby siłą.

Dalej nie wiem, czemu wtedy tak bardzo chciał być sam.

W Kutaisi przywitały mnie krowy, leniwie skubiące trawę niedaleko pasów startowych, i poczułam, że może jednak pokocham to miejsce, jeśli jeszcze jakieś zapasy miłości mi zostały.

SPRAWDŹ, KTÓRY ZJAZD – komenderuje Meška twardym głosem, w którym nie ma nic z prośby o pomoc, bo przecież pomocy Meška nigdy nie potrzebuje, bo jak trzeba obsłużyć kolonię dzieci, to robi to szybciej, niż którekolwiek zdąży się rozedrzeć, że głodne, a ja wchodzę w tę narrację jak w masło, bo innej nie znam, taką dziwną siostrzaną komunikację sobie ukułyśmy, i sprawdzam dokładnie, gdzie trzeba skrócić, żeby wjechać na autostradę, licząc, że na autostradzie będzie lepiej.

Zawsze wszystko sprawdzam dokładnie, żaden student nie szuka mnie przy listach obecności albo zadaniach domowych. Zawsze potrafię odróżnić, czy ktoś ma niechlujne pismo, czy niewyraźnym wężykiem próbuje zamarkować trudną końcówkę w łacińskim słowie. Meška włącza kierunkowskaz i próbuje się wpasować w sznur aut, które za nic nie chcą się rozstąpić, tutaj się trzeba wypychać, ale nie ze znaną nam agresją, a w zabawie, wygląda na to, że wszyscy kierowcy na trasie do Tbilisi bawią się doskonale – oprócz nas, jakbyśmy były poza jakimś wewnętrznym żartem, który wymyślono, zanim tu trafiliśmy.

Gdy przyleciałam, obok wyjścia z lotniska kręcili się taksówkarze, głuśni na moje odmowy, ślepi na bilet autobusowy, którym machałam, i dopiero siedząc na miejscu, między turystami i nie-turystami, odetchnęłam spokojnie, przykleiłam się do okna, a za oknem przesuwawa się Gruzja, pełna wzgórz, małych pustych miast, małych pełnych miast, niedokończonych wiaduktów i połaci winorośli. Umówiliśmy się na przystanku w Tbilisi.

Spóźniła się.

MEŠKA ZASKAKUJĄCO sprawnie wciska się między samochody i słyszę, jak po cichu oddycha z ulgą, ale nic nie mówię, bo stara się tę ulgę ukryć, tak jak wcześniej ukrywała napięcie. Bez słowa podaję jej kawałek czurczcheli, gryziemy zatem orzechy w winogronowym soku, gapimy się przed siebie, koło trzeszczy. Wszystko jest w porządku, do czasu aż zaczynam mówić, że musimy zrobić test na covid co najmniej dwadzieścia cztery godziny przed lądowaniem, bo nałożą kwarantannę, jak tylko samolot siądzie na ziemi, co jest z mojej strony błędem, ale jeszcze nie ostatecznym, bo Meška tylko zaciska wargi, pogłusza radio, więc odpowiada mi gruzińska muzyka. Pełna, spuchnięta, wesoła, nie pasuje w żaden sposób do naszej siostrzanej stypy.

SPÓZNIŁA SIĘ, WIĘC marzłam na skwerku koło przystanku, gdzie świerki przystrojono gwiazdami i lampkami, świeciło się to wszystko jak lunapark i jak z lunaparku wzięta wyglądała moja starsza siostra w rozpiętym softshellu, bez czapki, za to z płamą na wełnianym swetrze, rozgrzana dziwnym ciepłem, które po podejrzenie wylewnym przywitaniu rozpoznałam jako woń mieszkanki gruzińskich win.

Nic nie mówiłam, pozwoliłam, żeby zabrała mnie ze sobą do przerwanej zabawy, chociaż myślałam, że idziemy do hostelu, gdzie się wypłaczę z termicznych majtek i zmyję chociaż tłuste ślady po tuszu, co mi zostały na policzkach, jak przyszło wsiadać do tego przeklętego samolotu.

Zamiast do hostelu, trafiliśmy do klubowego zagłębia powstałego na terenie

opuszczonej fabryki, o czym informowała mała tablica przy wejściu. Dwóch przystojnych chłopców sprawdzało paszporty covidowe, ja swój miałam rzecz jasna przygotowany, Meška weszła na ładne oczy, twierdząc, że już było sprawdzane, a tam, tam są jej przyjaciele, wyszła na moment, na papierosa, już wraca do przyjaciół. W tym stanie przyjaciółmi Meški byli już wszyscy zgromadzeni przy barze w jednej z knajp, gdzie lano wino z baniaków do szklanek i można było tańczyć na odkrytym dziedzińcu, choć zimno.

Meška tańczyła, uczepiona sympatycznych Gruzinów, którzy zaprosili ją do wspólnej biesiady. Zaproszenie rozciągnęło się również na mnie, więc siedziałam przy stole z obcymi ludźmi, z miętową herbatą, przeproszałam i z uśmiechem odmawiałam tańca gospodarzom, bo wolałam patrzeć na Meškę wywijającą na prowizorycznym parkiecie, jakby jutra miało nie być, jakby nie było wczoraj, ani mnie, ani taty, ani mamy, co akurat się zgadza, bo mamy nie ma.

Taka beztraska i wesoła była ta Meška, wolna po miesiącach zamknięcia, że nie chciałam jej przeszkadzać, bo nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ją ostatnio taką widziałam, możliwe, że nigdy, więc sobie ten obrazek zapisywałam, ładując chinkali do ust, zapijając herbatą, majtając nogą do rytmu. Dałam się nawet w końcu porwać do tańców, hulank, swawoli, na jedną wprowadzi piosenkę, ale znaną, do której dawno temu wywijaliśmy na dyskotecę w podstawówce. Śpiewaliśmy obie, obie głośno, jednym głosem.

Wróciłam do baru, łapiąc oddech, nagle trochę smutna, bo przeczuwałam, że rano już tej Meški nie będzie. I nie było, rano była Meška, która pamiętała wszystkie troski świata.

Ale zanim to nastąpiło, zamówiliśmy ubera – elektryczny prius, pamiętam – usiadłam na przednim siedzeniu, z plecakiem na kolanach, zmarznięta i zmęczona, od wielu godzin w tych samych ubraniach. Wysiadłam, a pod podanym przez Meškę adresem nie było hostelu, był park rozrywki na wzgórzu, pusty i złowrogi o tej porze, otoczony tarasem widokowym pełnym bezdomnych kotów. Meška minęła mnie, pobiegła na krawędź tarasu i stanęła z ręką wyciągniętą przed siebie, prosto w horyzont, nad którym

wisiał gwiazdy i pękaty księżyc. Jeszcze nie trzeźwiejąc, śmiała się, że tam jest Kaukaz, tam pojedziemy.

Chce mi się sikać, ale nic nie mówię, bo przy obecnych warunkach pogodowych lepiej się nie zatrzymywać. W dodatku jestem niemal pewna, że jeśli stanimy, to tylnie prawe koło nie pozwoli nam ruszyć ponownie, samolot odleci do Polski bez nas i bez naszych wyników testów. Realia z tej podróży rodziców w latach osiemdziesiątych stają się nagle tak obce, że za nic nie mogę sobie w głowie ułożyć, że jesteśmy w tym samym miejscu, choć w innym czasie.

– Daj herbaty, Cecylia – mówi Meška cicho i podrywa się nagle, gdy mija nas radiowóz z migającymi kogutami, które tutaj nie znaczą niczego złego, ale przyzwyczajenie zostaje. – Daj i napisz do tych ludzi od auta, że się spóźnimy.

Na końcu języka mam już kilka zmarzniętych do uzbieranej dotychczas kupki, bo jeśli spóźnimy się z oddaniem samochodu, to zapłacimy karę, zapłacimy też pewnie za to trzeszczące koło, spóźnimy się na samolot, spóźnimy się do życia i już na zawsze zostaniemy zawieszone na oblodzonej gruzińskiej autostradzie, wyprzedzane przez przepełnione marszrutki i puste tiry bez naczep. Wymyślam w głowie najgorsze scenariusze, aż się łapię na myśli, że przecież najgorsze już się stało, kilka tygodni temu, więc niech się dzieje, co chce.

Meška zaciska ręce na kierownicy, na jej przegubie dynda bransoletka przyjaźni. Kupiłam ją w Alawerdi, chciałam zerwać w Waszlowani.

—
WCALE NIE MIAŁYŚMY zamiaru zbaczać z trasy, ale Meška powiedziała, że jak już tu jesteśmy, to musimy. I chociaż Alawerdi nie wydawało się daleko, to jednak trudno było monastyr odnaleźć, szczególnie że bardziej skupiałam się na tylnym kole, którego trzeszczenie wyłapałam, jak tylko skacowana Meška wyjechała na drogę, rozglądając się nerwowo naokoło, byle trafić w odpowiedni strumień samochodów, a każdy z nich był rwący.

– To nic – powtarzała Meška, dalej z płamą na wełnianym swetrze, wspomnieniem ostatnich beztroskich chwil tej wycieczki.

Żal dzielony na dwie tak naprawdę się mnoży.

Parking pod Alawerdi był prawie pusty, wysiadłam szybko, byle pierwsza znaleźć się przy felearnym kole i rzeczywiście, felga była ciepła, Meška oświadczyła, że felgi zawsze są ciepłe, co jednak nie do końca było prawdą, bo na jej oczach ostentacyjnie sprawdziłam pozostałe trzy, normalnie zimne, ale co ja się znam, przecież jestem młodsza i prze-wrażliwiona.

Na szczęście sam monastyr wynagrodził trudy podróży i niesmaczne śniadanie, podane prosto do pokoju drżącymi rękami właścicieli, bo pandemia. Kamienna wieża strzelała w górę, jakby zaraz miała przekłuć białe, pękate chmury. Chciałam już iść, dotknąć tych murów, poczuć te wszystkie zapisane w kamieniu wieki, ale nim minęłyśmy bramę, z małego sklepu z pamiątkami wyskoczyła jeszcze mniejsza kobieta. Cała ubrana w czarne sukienki, więcej miała energii niż my obie razem wzięte i więcej zrozumienia, choć nie mówiła w żadnym znanym nam języku. Gestem pokazała, o co chodzi, i wkrótce, chichocząc trochę, jak małe dziewczynki, przebiłyśmy to poranne napięcie, oblekając się w podobne pożyczone czarne sukienki, bo jak się okazało, nasze kurtki były stanowczo za krótkie.

Chichoty przeszły nam za bramą, na placu, gdzie Meška wgapiła się w drzewa oliwne, nieruchoma jak posąg, którego żadne kaukaskie wiatry nie zmiotą. Naciągnęłam kaptur i sama weszłam do katedry.

Podobało mi się w tej szerokiej, strzelistej przestrzeni, jakoś się nagle poczułam zaopiekowana, choć wokół kręcili się nieznajomi ludzie, nieznajomi kapłani śpiewali po cichu pieśni niskimi głosami, które zwielokrotnione echem odbitym od sklepienia otulały jak poduszka. Wcale mi nie przeszkadzało zimno, szłam w kierunku ołtarza po kamiennej posadzce, czując, jak rytm moich kroków rymuje się z ruchem skał gdzieś głęboko pod fundamentami. Przystawałam przy obcych, udawałam, że należę do grup wycieczkowych, zaglądałam przez ramię wiernym, miałam wrażenie, że jestem gdzieś w zawieszeniu, może Gruzja, ale może Grecja czy Azerbejdżan, może dowolne miejsce, gdzie ludzie zbierają się we wspólnoty i po prostu są.



W końcu znalazłam sobie miejsce przy świecach do zapalania w czyjejs intencji.

Dopiero teraz przypominałam sobie, że takie świece były do kupienia u staruszki w sklepie z pamiątkami. Wtedy nie kupiłam żadnej, ale przecież nikt się nie obrazi, jeśli zapalę jedną z tych już obecnych, zgaszoną podmuchem wiatru czy innym przypadkiem, nie obrazi się na pewno żaden ze zmarłych, gdy pierwotną intencję przekieruję na swoją własną, przecież można się ogniem świecy podzielić, podzielić pamięcią, bo przecież stojąc w tych niemal tysiącletnich ruinach, w czarnej wdowiej szacie i majtkach termicznych, mogę podumać w ciszy i nad prawowitym duchem danej świeczki, i nad moim, osobistym, co go sobie przywiozłam na karku z dalekiego kraju i tak nosiłam od kilku tygodni.

Oczy zaczęły mnie szczypać, więc otarłam łzę z kącika, gdy za rękę złapała mnie Meška, objawiona nie wiadomo skąd i kiedy, żeby wysyczyć mi do ucha, że co ja robię, że tak nie wolno, że intencja kosztuje dwa lari, że nie można sobie podkraść cudzych, a tak w ogóle to ona by tego nie chciała, nie chodziła do kościoła, nawet księdza z oddziału przepędziła, jak ją próbował na sam koniec namaszczać, czy nie pamiętam, jak mu każała, żeby sobie te oleje wsadził głęboko pod sutannę, gdzie słońce nie dochodzi, czy nie pamiętam, jak mówiła, że w tej pandemii księdza wpuszczają, kiedy chce, a męża tylko kiedy można?

Oczywiście, że pamiętałam i już nawet próbowałam się bronić, że przecież każdy przechodzi żałobę po swoim, więc jeśli chcę zapalić świeczkę na końcu świata, to mogę, chociaż kradziona, ale Meška nie słuchała, tylko wyciągnęła mnie z powrotem na dziedziniec monasteru, gdzie było zimniej, wiatr się wciskał pod sukienki, odsłaniał zmarznięte nogi, kazał naciągnąć czapkę na uszy, Meška wciąż mnie ciągnęła, chociaż chciałam jeszcze popatrzeć na drzewa oliwne, rozetrzeć w palcach ich liście, poczuć, jak pachną, może nawet zjeść, gdyby nikt nie patrzył, no ale Meška nie patrzyła, wypychała mnie do przodu, do sklepu z pamiątkami, że trzeba oddać za świeczkę.

Pani nie rozumiała dokładnie, o co chodzi, nie chciała przyjąć pieniędzy za wypożyczenie szat, z których wydostałyśmy się z ulgą, nie chciała przyjąć pieniędzy za świeczkę, której my z kolei nie chciałyśmy wziąć, więc w końcu wskazałam na dwie bransoletki z kolorowymi kamykami, zostawiłam więcej monet niż potrzeba i szybko wyszłam z Mešką na zewnątrz.

Chociaż się broniła, założyłam jej tę bransoletkę i powiedziałam, że przecież miałyśmy takie kupić od dawna, na każdej wycieczce powtarzałyśmy sobie, że następnym razem, następnym razem, może ten następny raz to jest teraz, może innych nie będzie, cieszymy się zatem tym, co jest, gruzińską przygodą, no dalej, za ten Sopot i Krupówki, i rynek w Sandomierzu, za te wszystkie inne wspólne podróże małe i duże, zakładaj, Meška, tę plastikową bransoletkę na pamiątkę. Założyła i nawet zaczęła się śmiać, że będzie jej pasować do uniformu, jak wróci normalne kelnerowanie.

Pojechaliśmy dalej, w kierunku Waszlowani, wkrótce po lewej stronie wyrósł ten cały Kaukaz i przepadałam.

TERAZ BRANSOLETKA dynda na nadgarstku Meški, jedziemy niby we dwie, a tak naprawdę we trzy, z mamą – nie na tylnym siedzeniu, ale na naszych ramionach, które od ciężaru się garbią i zaokrąglają, jesteśmy coraz niższe, maleńkie w tym wielkim aucie z napędem na cztery koła, z czego jedno nie działa.

Piszę wiadomość na WhatsAppie, że będziemy spóźnione. Wystarczy spojrzeć:

choć jazd z autostrady jest blisko, to jednak łatwo nie będzie, bo Meška błędnie coraz bardziej, mruży oczy, przeskakuje w nierównym rytmie od nawigacji, przez przednią szybę, po lusterka, balansując na jakiejś cienkiej granicy między sennością a nerwowym pobudzeniem. Pamiętam ją taką sprzed lat, kiedy miała za sobą pierwsze weekendowe nocy w słabo obsadzonych restauracjach. Może i trzęsły się jej kolana z wysiłku, ale nie uroniła ani kropli z niesionych na tacach kufii.

Przy zmianie pasa do zjazdu prawie ładujemy się na nos dostawczaka, głośny klakson wgrzyza się w uszy, na moment zagłusza tarcie z tyłu, sprawia, że obie prostujemy się nagle na siedzeniach, mama z ramion nie spada.

DO WASZLOWANI miałyśmy dwie drogi do wyboru, o czym poinformował nas przystojny właściciel hostelu, stawiając nam przed nosem cziżi-piżi, które zamówiliśmy bez mrugnięcia okiem, pojęcia nie mając, co zastaniemy na talerzach, uwiedzione samą nazwą, brzmiącą jak dziecięca rymowanka, a ja za wszelką cenę chciałam wrócić do dziecięcych rymowanek, wołałam je od dorosłych kłótni, więc powtarzałam sobie cziżi-piżi, cziżi-piżi, aż zjadłam tę mieszaninę jaj, pomidorów i serów do ostatniej łyżki.

Dostałyśmy jeszcze po jednym tonis puri na drogę, za dobre sprawowanie.

Właściciel pokazał nam trasy na mapie wiszącej na ścianie recepcji. Pierwsza okrężna, ale prosta, głównie przez pastwiska, polnymi drogami; z niej wyrasta druga, dużo krótsza, ale pełna zawijasów i spadków terenu, ciągnąca się przez nieco księżycową pustynię. Obie pełne przygód. Zrobiłam zdjęcie tras, porównywałam to wszystko z nawigacją w telefonie, chociaż widziałam, że Meška była głodna wrażeń, chciała dojechać na miejsce jak najszybciej, a jednocześnie nie chciała dojechać wcale.

Przed wyjazdem zauważyłam, że tylna felga jest pokryta czarnymi kropkami, które śmierdzą spalenizną.

– Przecież to tylko do Waszlowani i z powrotem – powiedziała Meška, jakbyśmy nie mogły podróży skończyć tutaj, co to byłby za problem przespać jedną noc więcej w Tbilisi albo nawet w Kutaisi, koło lotniska z krowami na pasie startowym, nie musimy się pchać do parku narodowego, tak naprawdę przecież nawet nie wjedziemy w głąb, starczy nam czasu, żeby się tylko otrzeć o granicę, z daleka popatrzeć na Azerbejdżan, może przytrzymać mamine zdjęcie ze ściany z kuchni w wyciągniętej ręce, gdybyśmy je miały, i spróbować dopasować do krajobrazu, ale przecież to nie było ani nasze zdjęcie, ani nasz krajobraz, ani nawet nasza wycieczka.

TYLKO NA MAGAZYN PISMO . PL

Pismo ze świata

PAWEŁ MARCZEWSKI

O ważnych wydarzeniach i zjawiskach z innych rejonów globu, bez uproszczeń i epatowania egzotyką.



Masz prenumeratę lub sam dostęp online do „Pisma”?
Czytaj nowe felietony z cyklu co miesiąc w serwisie i aplikacji.

Kup książkę



Meška się uparła, że plan trzeba zrealizować, że mama zawsze mówiła o tym Waszlowani i jak to razem z tatą byli w Gruzji z plecakami, wieki temu, w naszym wieku będąc, jak jeździli marszrutkami na trzeciego, niemal zwisając z otwartych okien, z plastikowymi, pozbawionymi etykiet butelkami, w których burzyło się wino kupione na przydrożnych straganach, jak bardzo pragnęli tam kiedyś wrócić. Mama chciała, żebyśmy zobaczyły to samo miejsce za nią i opowiedziały po powrocie, czy stare oliwki dalej stoją. Chodzi o zasady, obietnice i zasady.

Rzeczywiście, wtedy na tarasie widokowym w Tbilisi Meška miała rację, Kaukaz towarzyszył nam od tej pory do samego celu. Przy lewym ramieniu, nieruchomy, jak mur, którym można się było odgrodzić od wszystkiego, co złe, za Kaukazem szalały burze, warczały huragany, a droga, w którą Meška skręciła z głównej, była spokojna, polna, wbiła się w pastwiska aż po horyzont, prawie bez zmian, wszędzie piasek i pył wzbijany spod kół.

Czułam się jak na pustym Księżycu, dopóki nie minęłyśmy pierwszych stad owiec. Przypominały rozsypane bezowe ciastka, z grubą warstwą wełny, gotową niemal do ścięcia. Zalegały na polu porośniętym zażółconą trawą, niektóre odzywały się niskim beczaniem, niektóre tylko bez wyrazu podgryzały to, co miały w zasięgu pyska, czasem siebie nawzajem. Piękny był to obrazek i pokazywałam Meške po kolei, co przykuło mój wzrok, jak w czasach, kiedy rodzice zabierali nas do zoo. Między owcami biegały psy pasterskie, pękate owczarki na wysokich łapach, z wywieszonymi językami; gdzieś na obrzeżach tego ospałego stada kręcili się pasterze na koniach. Pomachałam jednemu z nich, odpowiedział tym samym i przez moment czułam się na miejscu, w domu, bezpiecznie, aż Meška postanowiła ominąć grupę owiec, która za nic nie chciała ruszyć się ze środka drogi. Samochód płynnym

ruchem wjechał na pastwisko i płynnie być przestało, gdy koła wpadły w koleiny, wyjeżdżone przez dużo większe pojazdy, może traktory albo ciężarówki, aż przeszorowałyśmy zawieszeniem po ziemi, tań metal, szły iskry. Meška w panice dodała gazu, usiłując nas z kolein wyciągnąć i w końcu się udało, bo z powrotem wjechałyśmy na polną drogę, ale tym razem nie można było zaprzeczyć, że z autem jest coś nie tak. Tylne koło trzeszczało już bez przerwy.

Stado owiec beznamiętnie patrzyło w naszym kierunku, podobnie jak pasterze i psy. Patrzyłam ja, patrzył i Kaukaz, aż przyszło wybrać drogę do parku i Meška, rzecz jasna, za nic miała ostrzeżenia właściciela hostelu.

Rozboleł mnie brzuch, trochę z głodu, trochę ze strachu, gdy Meška wybrała skrót.

DO TBILISI ZOSTAJE NIECO ponad pół godziny, ale wciąż za długo, żeby zdążyć, na wiadomość nikt nie odpowiada, zaczynam się już martwić hostelem na dzisiejszą noc, bo co, jeśli go nie znajdziemy, co, jeśli się zgubimy, spóźnimy na jutrzejszy samolot, a przecież po drodze trzeba zrobić testy, kupić świeże maseczki, starymi mamy już wypchane kieszenie, chcę poza tym kupić granaty, chcę kupić mandarynki od przydrożnych sprzedawców, jeszcze jedno chaczapuri, tylko jedno chaczapuri, myślę sobie w desperacji, na przednim siedzeniu tego klekoczącego metalowego pudła, w nocy, w śnieżycy, w styczniu, w kraju, w którym przeszliśmy niemal przez wszystkie pory roku, przemierzając go od lewa do prawa.

Aż strzelba wybucha.

– Hamulec nie reaguje – mówi Meška beznamiętnym głosem. – Wciskam i nie reaguje.

Patrzę na nią z niedowierzaniem, bo nie czas na takie żarty, potem patrzę na drogę, a droga jest pokryta warstwą brązowego śniegu, na którym osiada warstwa świeżego, jest zimno, ciemno i pada.

A – koło przestało trzeszczeć.

– Nie reaguje – powtarza Meška, pochyla się mocniej nad kierownicą, zaciska palce, aż bieleją kłykcie, zbliżamy się do auta przed nami, migają tylne reflektory, nasze auto prędkości nie wytraca, bo rzecz jasna jedziemy z górki, ten moment wybrały hamulce

na dezercję, nie płaskie stępy na wschodzie, tylko serpentyny w dół, zawijane wokół góry.

Staram się odpowiadać spokojnie, ale głos mi drży, gdy pytam, czy aby na pewno nie reaguje – niezbyt mądre posunięcie, ale jestem spanikowana, na szczęście Meška nie słyszy, zbyt skupiona na pytaniu co robić, trwa to wszystko sekundy, ale czas się rozciąga jak ser i zaraz jak ser się zerwie, więc tylko spokojnie mówię, żeby się zatrzymać, wjechać na pobocze, ale pobocza nie ma, są tylko barierki po obu stronach, przy brzuchu góry, przy przepaści, nasze auto stacza się coraz szybciej, auto przed nami jest coraz bliżej, zamykam oczy, krzyczę.

Meška gwałtownie skręca w cudownie pojawiającą się zatoczkę autobusową i wbiła nas w sam środek zaspasy.

Zaspa jak mur, zaspa jak Kaukaz.

DROGA NA SKRÓTY wcale drogi nie skróciła. Pastwiska i zaorane pola ciągnęły się w nieskończoność z małą przerwą na księżycową pustynię, gdzie nie było nic, tylko piach przyskający spod kół, wciskający się w oczy i nos, kaszlałam potem na brązowo, drapało mnie wszystko w gardło, drapało w oczach, ale nie płakałam, łzy zostały na lotnisku.

Podziwiałam, jak Meška daje sobie radę w tym krajobrazie, sprawnie manewruje napędem na cztery koła, wykręca na zakrętach, znajduje właściwe koleiny, a wszystko to płynnie, jeśli jest się głuchym na trzaski, niewrażliwym na rozgrzane felgi.

Na co dzień Meška jeździła po mieście starym fordem fiestą odziedziczonym po tacie, prostymi trasami, na których zmagać się trzeba najwyżej z większym rondem w drodze do pracy, ale jak przyszło co do czego, to powiedziała, że mamy wozic nie będzie, nie, do szpitala to nie pojedzie, ford fiesta w naprawie, brak czasu, brak ważnego badania technicznego, nocki w pracy, ranki w pracy, głodni ludzie, ty masz łatwiej, ty masz studentów na onlajnie, zresztą bez łańskich końcówek przeżyją, bez jedzenia już nie, wszystko, a właściwie nic, ale na miejsce tego nic wciskała mi w dłoń banknoty, robiła przelew na telefon, wysyłała bliki poza moją kontrolą, żeby starczyło na taksówkę, taksówką lepiej, pan pojedzie pod drzwi, mamę przepakuję prosto na wózek, ona by

musiała szukać miejsca parkingowego, wiadomo, że przy szpitalach takich nie ma i by tak orbitowała wokół, aż wleją w mamę kolorową chemię.

Nikt się słowem nie odezwał, każdy próbował radzić sobie po swojemu, więc zamaślałam kursy bezpośrednio u ulubionego kierowcy, a Meška tylko dzwoniła z pytaniem, czy są już wyniki kolejnych badań obrazowych, zwykle wyników nie było, bo nie było również terminów i specjalistów w tej nowej zamrożonej rzeczywistości. Wyobrażałam sobie, że stała z jedną ręką na przyciśniętym do ucha telefonie, a drugą w biodegradowalnym pudełku, do którego ładowała kotlety z buraka.

SERCE PODESZŁO MI DO gardła parę razy, kiedy okazało się, czemu przystojny właściciel hostelu odradzał nam skróty. Droga wiała się przez wzgórze, to pięła się stromo w górę, to znów opadała ostro w dół pod kątami, jakich u nas nie widywałam, niedawne deszcze pogorszyły sytuację, ale Meška odważnie parła do celu, z górki na pazurki, przez przednią szybę nie było widać horyzontu, tylko piach, piach, piach. Bałam się, że sturlamy się na dół, okleimy błotem jak śniegową kula, kula żuka gnojnika, i spadniemy prosto na Azerbejdżan.

Zamiast tego były ładne obrazki, była stara opuszczona fabryka na pustkowiu, nowa jednostka wojskowa pełna żołnierzy, z których kilku zasłaniało oczy przed słońcem i patrzyło, jak wlecemy się drogą bez końca, małe mrówki na skórze wzgórze.

Potem było Waszlowani, potem zachciało mi się siku.

DREPCZEMY WKOŁO nieruchomego auta. Nikomu nic się nie stało. Meška ma zarumienione policzki, rozpiętą kurtkę, dalej widzę tę plamę na wełnianym swetrze, przekrzywiona czapka odsłania czerwone uszy, jest zimno, oddech zamienia się w parę. Ma siniaka pod okiem, czy ja to zrobiłam?

Wyciągam telefon, zaraz padnie bateria, ale wybieram ten sam numer, pod który wcześniej słałam esemesy, że się spóźnimy, w słuchawce odzywa się głos, niestety nie władający polskim ani angielskim, nic nie

rozumiem, rozłączam się, wypisuję kolejne wiadomości z wołaniem o pomoc, ale nie wiem, kto jej bardziej potrzebuje, ja, auto czy Meška, która dalej nie może przeprosować, że ledwo uszłyśmy z życiem. Naciągam jej czapkę na uszy, bo jeszcze się rozchoruje.

– I co teraz? – rzuca, ale nie w kontekście całej sytuacji, bardziej w kontekście mojej niemożności komunikacji, jakaś taka zła, że niczego nie umiem załatwić, bo jak widać nie umiem, więc i mnie zaraz puszcza nerwy. Wtedy zauważamy, że zatoczka autobusowa nie jest znowu wcale taka pusta. W głębi stoi budka, jedna z tych, którymi oklejone są gruzińskie drogi, można w nich dostać wszystko, od soków po wino w plastikowej butelce z logo pepsi, a ze środka wystaje uśmiechnięta wąsata głowa i macha ręką, że chodźcie, chodźcie, więc idziemy.

W budce stoi Gruzin obleczony w warstwy swetrów, wygląda jak nasz tata, uśmiechnięty, z czasów, kiedy byliśmy jeszcze wszyscy razem, a nie w kawałkach. Wskazuje na samochód, wskazuje na nas, mówi dużo, ale nie rozumiem nic, nic zresztą nie muszę, bo dogadujemy się rękami i uśmiechami właśnie, całą sytuację obracamy nawet w żart, w końcu wkładam w ręce Gruzina mój telefon z wybranym numerem, po drugim dzwonku ktoś odbiera i oto dzieją się cuda, otwierają nieba, śpiewają serafiny, jesteśmy uratowane, pomoc przyjedzie z Tbilisi, co trochę potrwa, ale jest na co czekać, Gruzin wciska nam do rąk herbatę w plastikowych kubkach i uśmiecha się szeroko do Meški.

Meška nic nie mówi, gniewnym krokiem idzie w kierunku samochodu, gdzie jak dziecko zaczyna kopać nogą w zasnął śniegu.

Wszystko, wszystko przeze mnie. Wszystko, wszystko w porządku.

NIE BYŁAM PEWNA, czy trafiliśmy w to samo miejsce co rodzice, ale chyba nie musiałyśmy, Waszlowani przypominał rajski ogród u kresu pustyni. Przy wjeździe do parku

stała wielka tablica z informacjami, mapą, zdjęciami fauny i flory, były rzecz jasna oliwki, w tym jakieś niesamowicie stare, niedaleko granicy, można podejść i popatrzeć na drzewo, które widziało już wszystko. Wokół rosły świerki, stały ze trzy chaty, teraz puste, w sezonie pewnie wypełnione turystami w śpiworach, pełno ław i drewnianych stołów, żywego ducha, powietrze ciężkie, niby idyllicznie i miło, ale nie mogłam pozbyć się wrażenia, że nie powinnyśmy tu być, że nie wolno, że zaraz z krzaków wyjdzie strażnik parku i nas przegoni.

Felga była gorąca.

Meška zostawiła samochód, poszła przed siebie, dołączyłam do niej i wędrując ramię w ramię, zostawiłyśmy za plecami świerki, przed sobą mając park narodowy Waszlowani. Bezkręśny step z kępkami oliwek, czysty i jasny, jak gdyby żadnych ludzi tu nigdy nie było. W oddali pośród skał zauważyłam ruch, coś uniosło się w górę, przecięło niebo z taką gracją, że aż się zaśmiałam, a gdy słońce przestało oslepić, złapałam Meškę za ramię i w sumie śmiałyśmy się obie.

Nad parkiem krążyły sępy.

Usiadłam na jednej z ławek, zdjęłam czapkę, rozpiłam kurtkę, zapatrzyłam się przed siebie, myśląc, że może mama i tata siedzieli w tym samym miejscu podczas tej pierwszej wycieczki, może spoglądali w tym samym kierunku, widzieli to samo, szli tą samą zaczynającą się u moich stóp ścieżką, prosto do wnętrza zakłętej krainy, posiedzieć pod drzewem oliwnym. Nagle zapragnęłam wszystko to zostawić, zbiec w dół po kamieniach, wzbijać spod górskich butów tuman kurzu, żeby pod tym samym drzewem oliwnym odpocząć, zostawić dokładnie taki sam ślad co mama, może ten jej jeszcze jest tam odcisnięty; ale nic z tego, bo Meška powiedziała, że jest głodna, a z krzaków wyszły koty.

ROBI SIĘ CORAZ PÓŹNIEJ, nikt nie przyjeżdża, nikt nie woła, kręcimy się wokół auta, wydeptujemy w śniegu ścieżki od sklepiu

Proza w „Piśmie” powstaje m.in. dzięki wsparciu Fundacji Michalskiego.

FO

FOUNDATION
JAN MICHALSKI
POUR
L'ECRITURE
ET LA
LITTÉRATURE

Kup książkę

do dwóch blaszanych bud pod drugiej stronie zatoczki, jest coraz zimniej, coraz później, przynajmniej przestaje padać, na niebie wisi księżyc. Mamy czerwone nosy, szczypią nas policzki. Meśka idzie sikać między drzewa, stoję na czatach, jej biały tyłek niemal świeci w ciemnościach.

Mija godzina zamknięcia sklepiu, ale Gruzini nigdzie się nie rusza. Dolewa herbaty, w międzyczasie obsługuje kolejnych kierowców, sprzedaje czurczchele, chlebki tonis puri, mandarynki. Wysupuję resztki gotówki z kieszeni i chcę kupić kilka Meśce, jak w Boże Narodzenie.

KOTY BYŁY CHUDE I GŁODNE. Wszystkie przypominały kawałki tej samej układanki, białe w szare łaty, w skarpetkach, krawatkach, z plamkami na uszkach, na oczkach, młode, jakby z jednego świeżego miotu, bez matki, wysypały się po prostu z trawy jeden za drugim, kręciły się między naszymi nogami i kiedy się wydawało, że to już wszystkie, spod świerków wychodziły jeszcze dwa, jeszcze trzy.

Para odważniejszych wskoczyła mi na kolana, inne wieszały się ławki, ocierały o łydki, wydając z siebie ciche pomiaukiwania, które od pierwszej nuty roztopiły nam serca i teraz kruszyliśmy ostatnie tonis puri, które nam wręczył przystojny właściciel hostelu, nie myśląc, że to resztki prowiantu, więcej nie miałyśmy, a droga powrotna wcale krótsza się nie zapowiadała, ale nieważne, koty jadły, sępy krążyły.

Nagle Meśka wyjęła z portfela zaginione zdjęcie. Linia zgięcia biegła przez ramię mamy.

MÓWIŁ MEŚCE, ŻEBY WSTAŁA, bo od siedzenia na kamieniu koło blaszanej budki dostanie wilka, po czym wysypuję jej w ręce mandarynki i sama siadam obok, bo co, z Tbilisi nikt nie nadjeżdża, nie zdążymy na samolot, nie zdążymy zrobić testów, zostaniemy i umrzemy w bezimiennej zatoczce autobusowej w kącie Gruzji, co chyba zaczyna rzucać się w oczy, bo Gruzini wychodzi ze sklepiu, rękami każe nam wstawać, jestem pewna, że wymienia jakiś odpowiednik wilka w swoim języku, po czym wskazuje

jeden z blaszaków, zagania nas do środka, a w środku jest ciepło, po włączeniu światła ukazuje się piecyk elektryczny, po lewej graciarnia, po prawej wszystko na białe – stół, drewniana stolnica, gruda miękkiego ciasta pod cienką warstwą mąki, wygląda to jak kuchnia u babci, gdy ledwie sięgałam głową ponad stół, a mama lepiła pierogi, pamiętam, że razem z Mešką miętosiałam w rękach podobne ciasto, czasem stawałam na stołku i wałkowałam, jeśli mi ktoś pozwolił, teraz mam ochotę dotknąć tego gruzińskiego, sprawdzić, czy jest tak sprężyste jak babcine.

Nasz gospodarz wprawną ręką tnie ciasto na kawałki, formuje je w kształt łez, ładuje na inną stolnicę i wychodzi z całym tym ambarasem na zewnątrz, nie wiem, co dalej, patrzę na Meškę, Meśka wygląda jak mała rozczochrana dziewczynka w ciele dorosłej kobiety, ze smarkiem pod nosem i ustami w podkówkę. Chcę ją wziąć za rękę, ale się nie daje.

Idę sama za Gruzinem.

WSTAŁAM NAGLE, KOTY wysypały się z kolan, za nic miałam sępy i końce świata, pytałam, skąd ma to zdjęcie, jakim cudem trzyma je w rękach, skoro pozwoliłam, żeby to tato sobie je zachował, dalej nie mogło ułożyć mi się w głowie, że to żaden tato, że to Meśka podczas tych ostatnich wizyt w domu ukradła ramkę, wyjęła zawartość, schowała do portfela, pogięła w taki barbarzyński sposób, jakby nie można było po ludzku zrobić odbitki, tylko jakieś dziecinne podchody. Nakręcałam się jak katarynka, ale przecież doskonale wiedziałam, obie wiedziałyśmy, że złościłam się tylko o to, że Meśka była szybsza.

Koty bały się krzyków, usunęły się w trawę, jeden cichaczem wyjął z mojej ręki resztki placka, kiedy Meśka zaczęła odpowiadać na oskarżenia, że zdjęcie to jedyne, co jej zostało.

Sępy krążyły coraz niżej, kiedy ją uderzyłam.

GRUZIN PROWADZI NAS DO drugiego blaszaka, w którym jest jeszcze cieplej, bo stoi piec – okrągły, kamienny, przypomina studnię, w którą można wpaść i już na zawsze

Kup książkę

dzźwięki północy

37. FESTIWAL DŹWIEKI
PÓŁNOCY | 37th FESTIVAL
SOUNDS OF THE NORTH

CENTRUM ŚW. JANA |
ST. JOHN'S CENTRE |
RATUSZ STAROMIEJSKI |
OLD TOWN HALL

11–14.07.2024
Gdańsk



www.dzwiekipolnocy.pl
www.nck.org.pl

bilety: www.interticket.pl



Nadbałtyckie
Centrum Kultury
Gdańsk



Instytucja Kultury Samorządu
Województwa Pomorskiego

zapanuje cisza, spokój, nigdy więcej wojny. Ale zamiast tego jest gruziński potok słów, co otula jak kołdra, aż się chce tu zostać, w tym blaszaku, więc chcę zostać, Meška chce – widzę – wychodzić, ale Gruzin wciska każdej z nas do ręki ciasto, sam wrzuca swój kawałek do pieca tak, żeby przyczepił się do ścianki. Pokazuje, że mam robić to samo, ale nie bardzo chce mi się zanurzać w tej studni, a przynajmniej tak mi się wydaje, bo mimo wszystko po chwili przyklejam ciasto do kamienia. Pachnie cynamonem i babcią.

—
BILIŚMY SIĘ JAK dziewczynki w czwartej klasie, leciały wrywane włosy, odbijały się ślady zębów na nadgarstkach, podciągały swetry, ściągały legginsy, szedł w górę pył, wciskał się w nosy, brudził oczy, z oczu leciały łzy, z nosa smarki. Siłowałyśmy się tak samo, jak kiedyś w naszym pokoju na piętrze, gdy jedna nie chciała ustąpić drugiej, teraz było podobnie, z tym że nie wygrała żadna.

Wiatr rozgonił kawałki podartej fotografii.

—
GRUZIN NAKRYWA piec blachą, czekamy, czekając, oglądamy zdjęcia jego córek na telefonie, zapominam o Tbilisi, samolocie i stach.

—
STAŁYŚMY NIERUCHOMO, patrząc, jak fragmenty zdjęcia uciekają coraz dalej, coraz wyżej, w końcu ponad urwisko, gdzieś w sam środek parku. Żadna nie reagowała. Wydawało mi się, że widzę ostatni raz błysk w oku mamy, na tle drzew oliwnych i nagle poczułam, że trafiłyśmy we właściwe miejsce, że wiatr wpasował zdjęcie w krajobraz i jest tak, jak być powinno. W porządku.

W końcu Meška to wszystko zerwała, machnęła ręką i odeszła gdzieś między świerki. Zostałam sama, gapiąc się na Waszlowani i Azerbejdżan, gdzieś tam daleko, za drzewami oliwnymi, i byłabym tam tkwiła jeszcze długo, gdyby nie rozległ się dźwięk silnika i warczenie wściekłych psów.

W biegu poprawiając legginsy po zapaśach, wyszłam zza świerków, żeby zobaczyć, jak w moim kierunku biegają psy pasterskie, a Meška odjeżdża za horyzont.

Psy szczyrzyły zęby, nie widziałam nigdzie ani stada, ani pasterza, nikt postronny mnie nie uratuje, rozszarpia mnie te brutusy i burki na stepie gdzieś pod azerską granicą, widziałam tylko Meškę, bezpieczną w aucie na jałowym biegu, jak patrzyła i wahała się. Jechać czy wrócić. Jechać czy wrócić.

—
GRUZIN WYCIĄGA z pieca gotowe tonis puri, podaje nam nasze, pokrzywione, wybrzuszony, w niczym nie przypominają tych profesjonalnych, ale to nic, parzą w ręce jak prawdziwe i profesjonalne.

—
NIE UCIEKAŁAM, bo gdzie, między świerki i bezdomne koty, no nie bardzo, zastygłam i zamarłam, z legginsami ledwo naciągniętymi na tyłek.

Czas rozciągnął się jak ser i jak ser pękł.

Meška nadjechała z piskiem opon, w chmurze pyłu, otworzyła drzwi po stronie pasażera, krzycząc, żebyśmy wsiadała.

—
SIEDZIMY NA TYM samym kamieniu co wcześniej, choć zimno, coraz zimniej, coraz później, minęło kilka godzin od telefonu do Tbilisi, ale to nic, mamy tonis puri, mamy siebie, pod butami oberki z mandarynek.

Nagle Meška pyta, dlaczego nie dopuściłam jej do mamy.

– Dlaczego nie dopuściłaś mnie do mamy – pyta Meška i nagle się ulewa wszystko, co narastało od ostatnich tygodni, właściwie od ostatnich miesięcy, może nawet odkąd jako siostry zaczęłyśmy odrastać od siebie każda we własną stronę. Nie gestykułuję, nie podnosi głosu, tylko miętosi te mandarynki i wymienia momenty, kiedy to ja zajmowałam miejsce po prawicy mamy, że to mnie mama prosiła o pomoc w umyciu się, czesaniu, jedzeniu, to ja mogłam zostać w sali na wymianie cewnika czy smarowaniu odleżyn, nie ona, Meška miała służyć tylko transportowi od szpitala do domu, a gdy odmówiła, to wypchnęłam ją poza ramy, poza chorobę, a teraz nawet poza żalobę, rozgościłam się na jej miejscu i jeszcze się dziwię, że Meške się nie podoba.

Dodaje, że wepchnęłam się na tę wycieczkę, dobrze się bawiła, dopóki nie stanęłam

na przystanku w Tbilisi, i dobrze by się bawiła dalej, bez gadania, że koło zepsute, jak nie zepsute, skoro jeździ, albo że nam dowalał kwarantannę bez testu, skoro test na pewno da się zrobić wszędzie i zawsze, a jeśli nie, to certyfikat pewnie można kupić na bazarze, po co to wszystko.

Pozwalam Meške mówić, aż w końcu przestaje i wdycha, tak głęboko wdycha, że mogłaby w płucach zamknąć cały świat.

Waham się tylko przez moment, ale biorę ją za rękę, ściskam za nadgarstek tuż nad śladami zębów i bransoletką, a w tym geście zawiera się podróż z Waszlowani, przez step, bez słów, zawiera się może nawet mama, brak mamy, te wszystkie minione tygodnie.

Na pewno wkrótce ktoś po nas przyjedzie, dojedziemy bezpiecznie do Tbilisi, stamtąd ruszymy dalej, zatrzymamy się może w Gori, mieście narodzin Stalina, zrobimy sobie testy na covid, przez brudną szybę popatrzymy na jarmark na rynku, dojedziemy do Kutaisi, na lotnisko, może starym mercedesem z kierownicą po niewłaściwej stronie, na pasie startowym będą krowy, pójde je pogłaskać, tak, pójde w błoto je pogłaskać, może nawet z nimi zostanie.

Wyciągam nagle telefon i na ostatniej kresce baterii robię nam wspólne zdjęcie. Nie ma Waszlowani, plecaków, plastikowej butelki z winem i mamy, jest Meška w wełnianym swetrze z płamą i wilgotnymi oczami, ja z kawałkiem tonis puri w kąciu ust i czerwonym nosem, obie dumnie prezentujemy bransoletki przyjaźni.

Jest po co wracać, no nie?

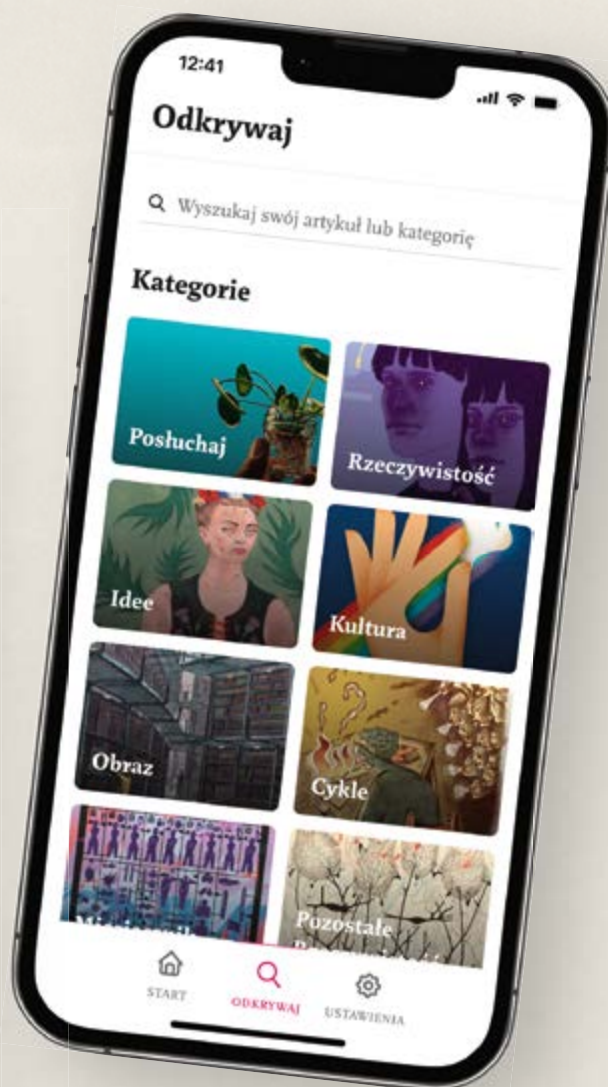
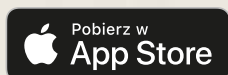


Więcej prozy przeczytasz lub wysłuchasz na magazynpismo.pl/proza

Kup książkę

Czytaj i słuchaj
w wygodnej
aplikacji mobilnej.

MAGAZYN OPINII
Pismo.



magazynpismo.pl/aplikacja

Kup książkę